TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej ł Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 1. *Chicago, Ills., 1 Lipca, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ
— Z —
CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

RUSZCZYC.

ROZDZIAŁ I.

Tak z dalekich pól sławy i nasz cień przychodzi,
Pośród pieśni żałobnych, pośród łez powodzi.

Brodziński.

Minęły już były jasne lata poranki; mgła ciężka kryła zdaleka wioski i gaje; rychłe szrony osiadały na dopiero co wzrosłem zbożu; same sosny i świerki cieniły jeszcze lasy, których zwiędłe liście ziemię pokrywały. Po wszystkich drogach do wsi prowadzących snuli się wieśniacy wszelkiej płci i wieku, a odgłos dzwonu śmierci oznajmiał smutny powód ich pielgrzymki i opieszałych przynaglał kroki.

Zbierał się coraz liczniej lud pobożny do świątyni, której żałobne przystrojenie, i w głębokiem milczeniu odbywane nabożeństwa pogrzebowy obchód oznaczały. Po kilku godzinach oczekiwania, to w kościele, to na przyległym cmentarzu, postrzeżono konnego posłańca, który zawołał na sołtysa, dał mu jakieś zlecenie i pędem do dworu pospieszył.

— Dalej dzieci, — przemówił do wszystkich stary Mateusz, sołtys Gromady, — pójdziemy naprzód wszyscy, bo już dawno ruszyli z osta-

tniego noclegu. Mój Boże, postradaliśmy naszego dobrego pana, już też teraz pod obcego przyjdziemy, bo nie masz żadnego po nim syna, a córkę Bóg wie jaki tam szlachcic zaślubi.

Ruszyła się za nim gromada; starsi gospodarze naprzód, czeladź wiejska, kobiety i dzieci za nimi. Gdy wyszli za wieś i drogą ku Lwowu postępowali, rzekł jeden z gospodarzy do Mateusza:

— Słuchajcie no kumie, bo wy to najlepiej wiecie, powiedzcież nam, gdzie i kiedy on pomarł? kto jego ciało prowadzi?

— Pomarł! — odpowiedział Mateusz, — zabilić go poganie, tam kędyś daleko na Rakuskiej ziemi, dokąd król nasz szlachtę i wojsko wyprowadził, aby wytępić bissurmany, co chcieli nas prawowiernych zawojować i na psów pogan zamienić, a nie mogąc pokurać z Polakami poszli na Niemców, bo z tymi łatwiejsza im się zdawała sprawa, i byliby ich wybili i zawojowali, ale jak im się tylko nasz Jan ze swymi Polakami pokazał, niedługo wytrwali przed nimi i wszystko musiało uciekać do swojej dziczy. Ale mój Boże, nie jeden z naszych poległ tam, nie za swoich, nie na swojej ziemi; i nasz pan życiem przypłacił, zostawując jedyną córkę i nas sierotami.

To rzekłszy, zdjął czapkę, wzniósł oczy i ręce ku niebu, co inni za jego przykładem także uczynili, i dodał:

— Niechaj go Bóg wszechmocny przyjmie do swojej przenajświętszej łaski, wszakże on to za wiarę z pogany wojował.

— Alećć, — zapytał jeden z włościan, — kiedy tam zginął gdzieś daleko, któż tutaj jego ciało sprowadza?

— Oto tak, co wiem to wam i powiem, — odpowiedział Mateusz. — Przed dwoma tygodniami powracałem za pługiem z roli, i mówiąc wieczorem różaniec, nie zważałem co się za mną działo; aż tu przy skręcie, tam kędy te krzaki i krzyż stoi na rozstajnych drogach, gdzie to kiedyś owczarka zabili, woły się czegoś zlękły i na bok skoczyły. Cmuknąłem na bydlęta i spojrzałem; aż tu hajduk od królewskiego dworu na tęgim koniu za mną pędzi i raptem się zatrzymuje. Przeląkłem się zrazu, bom nie wiedział zkąd się wziął przy mnie taki dragan. Niech będzie pochwalony, powiedział; na wieki wieków amen, rzekłem mu na to, i uspokoiłem się, bom poznał, że to jakiś co z Bogiem a nie z djabłem trzyma. — A jest pan podkomorzy w domu? Jestci, odpowiedziałem, nigdzie nie pojechał, chyba żeby miał po południu gdzie wyjechać. — Córka podskarbiego jest w domu? pytał dalej. — Ta, odpowiedziałem, nie ruszy się nigdzie i krokiem od czasu jak ojciec wyszedł na wojnę, codzień chodzi do kościoła, modli się żarliwie i często płakuje przy modlitwie nieboga. — Oj popłacze ona teraz dopiero, rzekł hajduk i ruszył naprzód, a jam czapczysko napróżno zdjął z głowy, bo już nie widział mego pokłonu. Aż tu mi mój Walek, co jest stróżem we dworze, powiada nazajutrz, że ten posłaniec od dworu królewskiego smutną przywiózł nowinę: że poganie zabili naszego Jegomości i że już ciało jego w drodze, i tutaj sprowadzone i pogrzebione zostanie. Co to było lamentu, co płaczu; a ta panna Maryanna w samych mdłościach była dni kilka i o świecie nie wiedziała. Od tego czasu posyłali a posyłali dowiadywać się, czy nie prowadzą ciała, ale go długo nie było widać. Onegdaj dopiero przyjechał znowu taki drugi dragan od dworu jak ów pierwszy, doniósł, że już prowadzą nieboszczyka i że jest przy nim królewski jakiś dworzanin, który aż na miejsce ciało odprowadza. Rozbiegli się zaraz podstarościowie i zwołali nas, abyśmy zeszli się tutaj i wyszli naprzeciw karawanowi i oto idziemy teraz.

— A słuchajcie Mateuszu — zapytał gospodarz z innej wsi, — prawdaż to, że tu coś pokutowało w zamku od kilku dni i jeszcze pokutuje, aż się ludzie nie chcą w nocy we wsi pokazać.

— A takci, tak, — rzekł Mateusz, — chwała Bogu żeć już będzie nabożeństwo, boć się przecież duszę zaspokoi; i mówią, że jak tylko pochowamy ciało, to już nie będzie pokutować. Ale co do dziś dnia, tobyście tu wytrzymać nie mogli; nikt z nas się nie waży wyjść przed sień jak się ściemni, i dla tego też, chwała Bogu, nikt z nas nic nie widział. Ale co to ludzie powiadają, to aż strach słuchać. Naprzód przed trzema tygodniami, jak państwo siadali do stołu a ksiądz pleban zmówił modlitwę, ni z tego ni z owego, bach.... spadło na ziemię ze ściany malowidło, na którem był nieboszczyk Jegomość we zbroi odmalowany, chociaż nikt go się nie tknął i gwóźdź na miejscu pozostał. Od tego czasu ciągle coś pokutuje w zamku; zawsze koło północka wyjeżdża wojak na siwym koniu z naj-

wyższego okna narożnej wieży zamkowej, i jeździ po powietrzu w koło zamku, a jeździ i macha ognistym pałaszem, aż się skry na ziemię sypią; a w całym zamku taki wtenczas hałas, jakby nie wiedzieć co ludzi po wszystkich izbach biegało.

Długo jeszcze opowiadał o strachach stary Mateusz, a wolniej za nim idący pospieszali, ażeby się przysłuchać jego powieści, i szli ciągle obok mówiącego, aż gdy z daleka postrzegli i poznali konie i ludzi prowadzących ciało Modrzejowskiego.

Żałobne mary szły przed wozem tryumfalnym, a naród pierwej witał straconych jak ocalonych synów ojczyzny. Takieto smutne widoki miały być zapowiednią radości, którą chwała narodowa, krwią okupiona, wzbudzała.

Już dawniej sprowadzono do Polski szanowne zwłoki starosty halickiego, Potockiego, który jeden z pierwszych pod Wiedniem śmiercią bohaterską poległ. Modrzejowski podskarbi nadworny w oczach króla swego, przy wypełnieniu jego rozkazów, śmiertelnie raniony, uprasza} przy skonaniu pana swego, aby mu też tę samą łaskę wyświadczyć kazał. Królowa wypełniając wolę dostojnego małżonka swego, zleciła aby ode Lwowa towarzyszył zwłokom Modrzejowskiego znakomity dworzanin, któryby je familii oddał i w imieniu królewskiem obrzędowi pogrzebowemu był obecny. Zlecenie to wypełniał młody Francuz nazwiskiem Mondor, który się starał o nie, z powodu pewnej już zażyłości w domu niegdyś podskarbiego nadwornego, a nadewszystko dla dania dowodu czci i wysokiego poważania dla zmarłego i familii jego przed Maryą, której wdzięki mocno go były zajęły.

Osierociała na teraz Marya bawiła od czasu śmierci matki w domu podkomorzyny Łoskiej, ciotki swojej, która z rodzicielską troskliwością zastępowała miejsce matki w młodym wieku straconej i nie mając sama potomstwa, Maryą jak własną córkę kochała. W tym domu odebrała ona staranne i przykładne wychowanie, a ojciec jej, ciągle na dworze królewskim przebywający, łożył wszelkie starania, ażeby córkę do wyższego powołania usposobić i udzielić jej znajomość języków obcych, mało wówczas między niewiastami polskiemi upowszechnionych, a to w nadziei, że ją później przy sobie u dworu królewskiego będzie mógł umieścić.

Pełen otuchy, że sobie zjedna względy poważanej przez siebie familii, i że słuszny żal jej dzielić i utulić potrafi, zbliżał się Mondor na czele żałobnego orszaku, który zwłokom Modrzejowskiego do familijnego grobu towarzyszył. Skoro go idący naprzeciw niemu włościanie spostrzegli, zatrzymali się w licznem zebraniu napoprzek drogi, odkryli wszyscy głowy, zmówil modły za duszę zmarłego; a gdy orszak żałobny dalej postępować zamierzał, zawołał Mateusz do łez rozrzewniony:

Panie wielmożny, który nam wracasz martwego dobrodzieja naszego, pozwól, żebyśmy go sami do jego niegdyś dziedzictwa wprowadzili. Dzieci, dodał obracając się do Gromady, odłóżcie te konie, niech każden jak może uchwyci się żałobnego wozu; ćwierć mili mamy tylko przed sobą, a choćby i mil kilka, tobyśmy takiego pana w ciężkim żalu poprowadzili.

Chętnie zezwolił na to żądanie Mondor, a włościanie, nie czekając nawet jego przyzwolenia, w mgnieniu oka odłożyli konie i wóz żałobny ciągnąć zaczęli. Stary Mateusz szedł naprzód; wszyscy z odkrytemi głowami śpiewali głośno pobożne pieśni na uproszenie wiecznego spoczynku zgasłemu panu.

Gdy się ten tkliwy orszak o staj kilka do wsi zbliżył, zatrzymany został przez duchowieństwo w żałobnym stroju, ze znakiem Zbawiciela naprzeciw niemu wyszłe, za którem familia nieboszczyka i licznie zebrane obywatelstwo postępowało. Nastąpiła chwila posępnego milczenia. Mondor zsiadł z konia i chciał się zbliżyć do podkomorzego, aby zlecenie swoje wypełnić, gdy przeraźliwy krzyk niewieści powstaje; wybiega z grona kobiet z wyrazem najsroższej rozpaczy Marya, przeciska się pomiędzy wszystkimi, nikt zapędu jej żałości wstrzymać nie może, spieszy do trumny czarnym kirem przykrytej, pada na nią, jakby ją chciała wziąść w swoje objęcia i przy rzewnym płaczu woła: "ojcze! ojcze!" lecz ulegając przemocy żalu traci siły, spuszcza zwolna odrętwiałe ręce z trumny: zemdloną biorą na ręce nadbiegłe ku jej pomocy niewiasty i z pomocą mężczyzn do najbliższego pojazdu odnoszą.

Nastąpiła chwila nieładu, po której pomięszany Mondor ledwo zdołał się sprawić ze swego poselstwa. Mało kto zważał na jego wyrazy, bo wszyscy ciężkim żalem przejęci byli. Podkomorzy ledwo słów kilka odpowiedział. Ducho-

wieństwo rozpoczęło obrzędy religijne, i przy odgłosie kościelnych dzwonów i duchownych pieśni wprowadzono zwłoki do świątyni.

Dzień cały zszedł głucho i posępnie; smutne wrażenia zbyt żywo zajmowały umysły, ażeby ktokolwiek o jakiej rozrywce mógł myśleć. Niewiasty nie odstępowały Maryi i ciotki jej, chcąc tkliwym udziałem przynieść jaką ulgę ich strapieniu. Sam Mondor tylko obojętny i innemi myślami zajęty, napróżno szukał jakiej rozrywki i złorzeczył temu, że się podjął przykrego dla siebie poselstwa.

W dniu następnym, przeznaczonym do uroczystego obrzędu, więcej jeszcze obywateli przybyło z dalszych okolic. Od rana panował już w samym zamku zgiełk, od wszelkiego publicznego zebrania nieodłączny. Dworscy służący trudnili się przygotowaniem do pogrzebowej uczty, noszeniem stołów, ław i nakrycia wszelkiego rodzaju; a przybyłych gości dworacy, zgromadzeni w czeladnicy, przepędzali czas trzeźwości na rozmowach o duchach i cudach. Damy zajmowały się to strojami, to kolejnem odwiedzaniem Maryi. Mężczyzni, zgromadzeni w głównej sali, rozprawiali głośno o ostatnich wypadkach wojennych, o skutkach dokonanej wyprawy, o wpływach królowej do rządów i o prawach i prerogatywach Rzeczypospolitej, przy których na przyszłym sejmie obstawać wypada. Coraz żwawsza toczyła się rozmowa z powodu różnego zdania obecnych, stósownie do nadziei lub uraz, jakie kto miał w pamięci. Wejście Mondora przerwała żwawość rozprawy; wszyscy spojrzeli na siebie z wyrazem przestrogi, trącano się łokciami nawzajem i najzaciętsi oponenci pocichu już tylko rozmowę swoją kończyli. Wtenczas dopiero zaczęto mówić o nieboszczyku i rozszerzać się głośno z jego pochwałami, a pocichu sarkano na to, że królowa Francuzowi zleciła odprowadzenie zwłok jego, utrzymując że to było ubliżeniem familii i obywatelstwu, niechętnie patrzącemu w swojem gronie na osobę obcą, której się może wystrzegać wypadało. Niższy klerus był zajęty służbą kościelną, lecz głównie celebrujący dziekan miał nader czynny udział w obywatelskich rozprawach o przygodach pospolitych, i wtedy dopiero pospieszył do kościoła, gdy przybycie Mondora powszechną rozmowę przerwało.

Po chwili przymuszonej względności i pohamowania zapędów języka, przybył gospodarz domu i zaprosił spółobywateli i posłańca królowej, aby raczyli towarzyszyć mu do świątyni. Zaszły kolasy i karabany koleją starszeństwa właścicieli, lecz wszystkich uprzedziła Marya wraz z ciotką, a przybywszy do kościoła przed zebraniem się natrętnych osób, gorące modły do Boga łaski niosła. Gdy wszyscy przybyli i właściwe zajęły miejsca, rozpoczęły się obrządki religijne, a mianowicie wielka msza żałobna, wśród której wymowny kaznodzieja część zasługom poległego oddawał. Marya, ciągle w ciężkim smutku pogrążona, łkaniem tylko przerywała swe modły. Lecz gdy po skończonej mszy jeden ze znakomitych obywateli stanąwszy przy katafalku głos zabrał, i uniesiony świętym zapałem czyny bohaterskie Modrzejowskiego wyliczać zaczął, gdy wspomniał, że ojczyzna nazwisko jego wiecznej przekaże pamięci, ocuciła się poniekąd Marya, wzniosła głowę i nieoschłe jeszcze od łez oko śmiało na katafalk zwróciła, na którym miecz i przyłbica od rzęsistego światła połyskały. To oko było spokojne, jak wryte w wojenne znaki, lecz w niem jaśniały najżywsze uczucia duszy, ów zapał bohaterski, który i w niewieściem sercu niekiedy rozniecić się może. Zwolna mijało uniesienie chwilowe, oczy zwróciły się ku niebu i wyraz błagalnej żałości zajął miejsce tych mocnych zarysów męztwa, które dopiero twarz jej odznaczały. Czulsze wyrazy mówcy rozbroiły na chwilę tylko silną duszę, łzy wróciły do powiek, i ta, co dopiero mścicielkę ojca zapowiadała, już tylko rozczuloną córką być umiała.

Po skończonem nabożeństwie i złożeniu ciała w familijnym grobie, wróciły wszyscy do zamku na pogrzebową ucztę; lecz Marya nie okazała się więcej gościom i przez dni kilka mieszkania swego nie opuszczała.

ROZDZIAŁ II.

Obcych do nas przychodniów było to zwyczajem,
Tuczyć się naszym chlebem, a pogardzać krajem.
Bezimienny.

Zasmucony nie tak dalece żałobnym obrzędem którego był świadkiem, jako raczej niepowodzeniem własnych zamiarów, wracał Mondor do Żółkwi, gdzie wówczas królowa przebywała. Był przy niej sekretarzem przybocznym niejaki Clotomont, ziomek i przyjaciel Mondora, który

bliższym będąc królowej, potrafił wyjednać dla niego tak niepomyślnie odbyte poselstwo. Do tego powiernika i dobroczyńcy swego udał się Mondor natychmiast po powrocie, aby mu urzędownie przybycie swoje oznajmić, i aby dalszych rad jego zasięgnąć.

Wchodząc do mieszkania jego zastał go siedzącego przed kominem w ogromnem krześle. Kamerdyner zajęty był robieniem tupetów, on zaś trzymał w ręku papier i zdawał się zatopiony w rozmyślaniu.

— A, dzień dobry Mondorze! — rzekł do wchodzącego, — jakże się powiodła wyprawa, czy serce zdobyte? czy też piękność jak zawsze okrutna i nieprzebłagana?

— Ani jedno, ani drugie — rzekł Mondor spierając się z niechcenia na kominie. — Ale nim ci opowiem co się działo, trzebaby uwiadomić królowę żem przybył.

— A czy nie widzisz żem jeszcze nieubrany? Ani królowej nie pilno dowiedzieć się o twojem przybyciu, ani tobie z tego nic nie przyjdzie, że się wcześniej o niem dowie, a tem bardziej też mnie nie nagli wyskoczyć na obojga rozkazy. Ja tu mam coś pilniejszego w ręku, a widzisz że się nie spieszę. Oto jest pokorniuchny, pełen miłosnych affektów list królewski, na który mam odpisać w stylu małżonki pani i radzić Jegomości, ażeby więcej dbał o siebie i swoich póty, póki ma oręż w ręku. A to wszystko musi być gotowe za godzinę, bo królowa jeszcze w tym liście zwyczajne swoje cyfry przypisze, a posłaniec odjeżdża przed południem. Więc jakże tam było, jakżeśmy daleko zabrnęli w odmęcie miłości?

— Tak, ty możesz sobie tak ozięble mówić o tem, co cię nie obchodzi i grzejąc się przy cieple szczęścia, szydzić sobie z nieszczęśliwego, dla którego pogodny promień fortuny zabłysnąć nie chce.

— Mój kochany, bez metafor, proszę cię. Ja się grzeję przy cieple kominka, który jest jedyną pociechą moją w tym niegodziwym kraju, gdzie winogrona nie dojrzewają, i w którym już trzeba marznąć, kiedy u nas jeszcze pod gołem niebem tańcują. Pewnie to boreasz i północne akwilony miłosnym zamysłom Jegomości na przeszkodzie stanąć musiały. Nie było pory sposobnej do romansowych przechadzek po gajach i dolinach, nie można było wzdychać przy świetle księżyca, ani z gitarą w ręku przygrywać Dulcynei, a siedząc ciągle w okopconej izbie w obec jakiego męzkiego lub żeńskiego Argusa, nie można było i słówka najmilszej szepnąć do ucha.

— Czyś już skończył? bo jeźli nie, to ja wcale zaczynać nie będę.

— Nie gniewaj się Jegomość, słuchać będę cierpliwie lamentów amanta. Więc tedy twoja najukochańsza....

— Ledwo że mi się pokazała i ani słowa ze mną nie mówiła.

— Winszuję! było po co w tak piękny czas i w tak dobrą drogę kilkanaście mil donkiszockiej wyprawy odbyć. Ale dla czegóż ona tak była okrutną? któż temu winien?

— A któż, jeżeli nie ty?

— Ja? a mój kochany, tego nawet rozumieć nie mogę; przecież nie jestem czarnoksiężnikiem, żebym ciebie lub ją oczarował!

— Ale jako doświadczeńszy mogłeś przewidzieć, że mi wcale nie wypadało ze złemi nowinami jechać do domu tego, gdzie sobie chcę miłość i względy zjednać.

— Czemu nie? i owszem prowadzenie zwłok ojca panny było dowodem poszanowania, którem dla niego przejęty byłeś, i chęci oddania mu ostatniej przysługi. Byłeś posłannikiem królewskim i powinieneś był być tłumaczem jego żalu. Ileżto powodów do poważania i nawet do wdzięczności? Jak piękne było powołanie twoje?

— Bardzo piękne! zwyczajnie posłaniec złe nowiny przywożący, którego trzeba przyjąć, nakarmić i napoić, ale z którym gadać nie chcą.

— Więc się może i upiłeś, miałeś przynajmniej sposobność utopienia twoich zgryzot; szkoda tylko, że w węgierskiem winie, a nie w naszem wybornem Bordeaux.

— Ty ciągle żartujesz, i ja widzę że się od ciebie żadnej rady nie doczekam.

— I owszem, rada u mnie zawsze na pogotowiu i to najwyborniejsza dla ciebie. Oto, wybij sobie te niewczesne zapały i romanse z głowy, bo cię to koniec końców do niczego więcej nie doprowadzi, jak najdalej do głupiuteńkiej żony.

— Ty zawsze sądzisz o ludziach z uprzedzenia, a w ogólnem zdaniu swojem żadnego nie przypuszczasz wyjątku; ja ci zaś powiadam, że piękna Marya ma czułe serce, a do tego, jak ci dobrze wiadomo, znaczny bardzo posag.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

ROZDZIAŁ I.

Różę kształciła dobra matka.



Arcypiękną i malowniczą jest pewna okolica na granicy południowej Szwabów, pełna kwiecistych nizin i borami okrytych gór, za któremi wznoszą się śniegiem lśniące góry szwajcarskie; tam stał w starożytnych czasach na wzniosłej, okrytej świerkami skale, znakomity zamek nazwiskiem Tanenberg. W późne wieki, same zwaliska mchem obrosłych murów i wieży zamku tego, zwłaszcza gdy zachodzącem słońcem poczerwieniały, lub pełnym księżycem blado oświetlone były, czyniły znakomite wrażenie na pielgrzymie. Nie przeszedł koło nich, żeby nie wspomniał, błogosławiąc dawnych właścicieli, bo oni uszczęśliwiali całą okolicę. Tak to cnota przeżyje człowieka, same waliska stają się pomnikami poczciwych.

W tym zamku żył niegdyś rycerz nazwiskiem Edelbert wraz z małżonką swoją Matyldą, w najszczęśliwszej jedności. Edelbert był mężnym rycerzem, a jakkolwiek powołaniem jego było władać mieczem i włócznią ostrą, pod stalową przecież zbroją, biło serce pełne ludzkości. Był to katolik pobożny, człowiek sumienny, pan dla swych poddanych łaskawy. Książę Szwabii zaszczycił go szczególną swoją przyjaźnią, a cesarz rzymski odznaczył go przed wszystkimi innymi rycerzami szczególnemi zaszczytami. Matylda, jego małżonka, szanowana była rozlegle, przez wzgląd na znakomite jej oświecenie, pobożność i dobroczynność dla biednych, przytem była bardzo urodziwą.

W owych burzliwych czasach rzadko Edelbert znajdował się w swoim zamku; towarzyszył księciu swemu w wyprawach wojennych; bywało, że i rok cały przepędzał w polu. Pod nieobecność jego, czerpała Matylda całą swą rozrywkę w towarzystwie z jedyną swą córką Różą, panienką młodocianą, przymiotami umysłu i zgrabnością ciała matce podobną. To pełne nadziei dziewczę dobrze wychowywać, było największą troskliwością dobrej matki. Sposób zaś wychowania był prosty, ale bardzo chwalebny; że sama była dobrą i pobożną, nie było jej też trudno w córce zaszczepić tych pięknych przymiotów.

Przedewszystkiem starała się poczciwa matka wpoić w ducha córki znajomość Pana Boga i miłość ku temu niebieskiemu Ojcu. Szanowna ta pani podobała sobie w rozważaniu dzieł Bożych, umiała bowiem w nich widzieć wielkość, mądrość i dobroć Stwórcy, co utwierdzało w jej

sercu prawdziwą pobożność. Z okna jej pokoju, przy którem znaczną część dnia z ręczną siadała robotą, był widok bardzo wspaniały. Niebo i ziemia z tej znakomitej wysokości uważane, przedstawiały nadobny, ducha unoszący widok, i podawały wielokrotną sposobność zwracania uwagi swej córki na wielkość i dobroć Najwyższego.

I tak obudziwszy Różę przed wschodem słońca, mawiała jej:

— Pójdź, Różo, przypatrz się, jaki to nadobny widok przedstawia wschodzące słońce! Przypatrz się z otwartego okna, jakto w tamtej stronie, gdzie słońce wschodzi, niebo właśnie płomieniem goreje, a te delikatne obłoczki ubarwione najpiękniejszą czerwonością; jak te odległe, śniegiem okryte nad borami sterczące góry połyskują, jak gdyby były ze złota. Uważajno, teraz właśnie wschodzi słońce! Jaki to wspaniały widok! Jako uwielbienia godnym jest Bóg, na którego rozkaz to dobroczynne słońce obiegające ziemię, oświeca i ogrzewa wszystko. Pokrzepieni snem włościanie, spieszą wesoło do swych zatrudnień; pasterze pędzą swe trzody na żyzną paszę; kośnicy tną zielone trawy, gospodarze przypatrują się swoim dojrzewającym zbożom; wszędzie, gdzie rzucisz okiem, widzisz jak obficie Bóg użyznia ziemię i łaskawie opatruje potrzebnem pożywieniem swe stworzenia. O jakże dobrym jest ojcem! który na wszystkich tak w zamkach, jak w biednych chatkach mieszkających ludzi, łaskawie spogląda, i im tę obfitą posadę na mieszkanie przeznaczył, a obiecał ich po tem życiu osadzić w niebie. I któżby tak troskliwego Ojca nie miłował!

Takie i podobne uwagi z serca matki płynące, trafiały też do serca córki, a ta złożywszy swe rączki, mawiała:

— O ty dobry Boże! jakże ja cię za to miłuję, żeś tak wszystko pięknie i dobroczynnie rozporządził!

Podobnym sposobem uczyła Matylda swą córkę, jak wszystko na niebie i ziemi, począwszy od słońca, aż do kropelki rosy, opowiada nam dobroć Boga. Zmieniające się pory roku z właściwemi sobie darami i pięknościami, dawały jej rozliczne sposobności do kształcenia ducha córki; a tak Róża uczyła się od stworzeń wznosić swe serce do ich Stwórcy, i stała się w ten sposób zdolną, że każdy kwiatek, owoc, dar Boży, przypomniał jej dobroć Jego, pobudzał ją do wdzięczności.



Pobożna matka znała dobrze historyę pisma ś.; obok ręcznych prac, opowiadała swej ciekawie słuchającej Róży, stósowne do pojęcia zdarzenia: o stworzeniu świata, potopie, patryarchach, wyprowadzeniu żydów z niewoli egipskiej, wejściu do ziemi obiecanej, o rządach tego wybranego narodu; Chrystusie, Jego dziełach, nauce, rozszerzeniu wiary chrześciańskiej. Kiedy dziewczę bawiło się pięknie opowiadanemi historyami pisma ś., brało razem gruntowne nauki na obyczaje wpływające, bo uważało w nich jak Bóg pokazywał się świętym, kochającym cnoty, a występki nienawidzącym, pragnącym mieć wszystkich ludzi dobrymi, szczęśliwymi.

Najmilsze były jej powieści z życia Pana Jezusa, o! jakże to jej niewinne serce pociągał do czci przykład pasterzy, i owych trzech mędrców oddających dopiero co tylko narodzonemu Jezusowi w stajence betleemskiej, swą cześć i uszanowanie. Gdy jej matka przedstawiała, jak Jezus w Nazaret swej matce i opiekunowi był posłuszny, jak z wzrostem nabierał mądrości, łaski u Boga i szacunku u ludzi, brała sobie za wzór, który usilnie naśladować powinna. Dążyła myślą za Chrystusem opowiadającym św. swą naukę, świadczącym dobrodziejstwa biednym, przyjmującym łaskawie nawracających się grzeszników, co jej serce tak zobowiązywało, iż nad niego nie widziała łagodniejszego i miłościwszego, i gnieździła się w jej duchu miłość ku Temu dobroczyńcy. Najwięcej jej się podobało, że Jezus tak czule lubił dzieci niewinne, i sądziła, iż taką niewinność dochować w sobie powinna, żeby być od niego podobnież lubioną.

Gdy przystąpiła matka do opowiadania męki Jezusa, jak niewinnego, miłością bliźnich swych tchnącego, przecież ci zaślepieni nienawidzili, zhańbili, haniebnie pokaleczyli, a nareszcie na krzyżu przybili, gdzie On cierpliwy modlił się za swoich nieprzyjaciół, — płynęły rzęsiste łzy

z oczu tkliwego dziecięcia, a widząc, że swą śmiercią odkupił ją od zguby wiecznej, postanowiła dla Niego całe swe życie poświęcić, pełniąc rozkazy Jego, a stłumiając własną wolę i przewidzenia.

Takto dobra matka zaszczepiała w duchu swej córki miłość Boga, a będąc przekonaną, że miłość Boga wymaga miłości bliźnich, nie omieszkała i w tym punkcie kształcić swej córki. Bez wielkich perorów, samo postępowanie łagodne, dobroczynne, zobowiązało serce córki dla matki, a ojciec choć był właśnie tylko gościem w swym domu, przecież miał należyte sobie miejsce w sercu dziecka, matka mawiała jej o nim zawsze z uniesieniem. Było to dla Róży dosyć dzielnym bodźcem, gdy jej matka czasami mawiała:

— Różo! tak się zachowaj, żebym o tobie przybyłemu ojcu nic, tylko same dobre opowiedzieć mogła.

A gdy wrócił z wycieczek swych do domu, znalazł równie matkę jak córkę pełną radości z swego powrotu, ubiegające się o to, aby mu uprzyjemnić pobyt domowy. Kupił on brzoskwinie, rosnące na drzewie blizko zamku stojącem, zebrała matka kilka co najdojrzalszych i podzieliła je na trzy części, dla ojca, siebie i Róży.

— Oto twój dział, mówiła córce.

— O nie! odrzekła, gdybym wzięła mój dział na równi z ojcem i matką, toby było najprzód niesłusznie, a potem cóżby dla ojca zostało? Nie, ja na to przystać nie mogę.

Wyłożyła więc pięknie listkami swój koszyk, włożyła weń owoc i poniosła ojcu.

Matylda zwykła była istotnie ubogich tak pieniędzmi, jako i żywnością opatrywać; nie rzadko spływały te dobrodziejstwa biednym przez ręce Róży, a to dla tego, żeby się wcześnie uczyła, jakto przyjemnie jest uszczęśliwiać bliźnich i przywykła do dobroczynności. Umiała ona obudzać litość w dziecku swem i nieznacznie naprowadzić ją na to, iż się z potrzebnemi dzieliła swoją własnością. Razu pewnego podarował Róży ojciec dukata z zaleceniem, żeby sobie za niego kupiła to co jej się podoba. Nie mając jeszcze doświadczenia, pytała matki, coby też za ten pieniądz kupić można? Matka wymieniła jej rozmaite przedmioty do ubrania i stroju; gdy nie mogła się na kupienie tego lub owego skłonić, wszedł do pokoju sługa i oznajmił, iż w przedpokoju czeka wdowa, mająca kilkoro sierot, której niedawno padła krowa, wyżywiająca ją z sierotami. Za przywołaniem stawiła się owa biedna kobieta, a po wysłuchaniu prośby, odrzekła Matylda:

— Na lichy czas trafiłaś moja kobieto, ledwie ci będę mogła dopomódz.

Wyjęła ze szkatuły kilka talarów, dała je kobiecie, mówiąc:

— Więcej ci dać nie mogę, bo zasoby wyczerpane; wszakże gdybyś jeszcze zkąd dostała dukata, mogłabyś sobie dobre kupić bydlę; ja nie mam więcej.

To usłyszawszy Róża pobiegła do swej sakiewki, dobyła dukata i oddała go kobiecie, mówiąc:

— Oto i ja ci dołożę, mam pod dostatkiem ubiorów, tobie potrzebniejsza krowa, jak mnie suknia.

Można sobie wystawić, jak uszczęśliwił ten czyn nieszczęśliwą wdowę, a ucieszył szczęśliwą z tak dobroczynnego dziecka matkę.

— Bardzo chwalebny czyn wykonałaś, moja luba córko! Takie czynne miłosierdzie zdobi cię nierównie więcej, jakby zdobiła nowa suknia lub jaki strój.

Od dziecińſtwa przyzwyczajała matka Różę do ochoczego posłuszeństwa; a mawiała jej, „że przywidzenie jest najistotniejszą przeszkodą postępu w dobrem. Dziecię powinno przedewszystkiem swoją wolę poddać woli rodzicielskiej, a w ten sposób przywykłemu, lekko przyjdzie spełnić wolę Boga; jeżeli rodzicom, których widzi, będzie nieposłuszne, to jakże może Bogu, którego nie widzi, być posłusznem? Skłonności złe, burzliwe, muszą w młodym zawczasu być ujarzmione, żeby się nie krzewiły i nie stały po czasie trudnemi do stłumienia, a tymczasem nie wyniszczyły zarodów dobrego."

Podług tego zdania, jeżeli nie mogła czegoś córce swojej pozwolić, to jej krótko i zwięźle odmówiła. Róża, jak to zwykle małe dzieci, usiłowała prośbami lub płaczem wymódz coś na matce; lecz przyszedłszy do tego przekonania, że nie zdoła przemódz matki swem natręctwem, ulegała jej woli bez szemrania. Dawała wprawdzie córce sposobności do przezwyciężania siebie samej, co jej rozkazała, musiało natychmiast być wykonane; wszakże była daleką od tego, żeby dziewczę drażnić, dawając częste lub przywidziane rozkazy, lub też nieustannie gde-

rając, poprawiając, przyganiając, że dziecko znudzone, traci zaufanie do matki. Takie umiarkowanie umiała w tej mierze zachować, że przyzwyczajonej do uległości, gdy czasem zbłądziła, żeby ją przez to ukarać, dosyć było powiedzieć:

— Różo, tegom się po tobie nie spodziewała!

Dobra ta matka, której nikt próżnującej nie widział, usiłowała także i córkę swą widzieć zawsze czem zatrudnioną. Gdy przeto sama zajęta była pracą, wyznaczyła i córce zatrudnienie do sił i zdatności zastósowane. Mawiała bowiem, że lubo praca dziecka nie może przynieść znakomitej pomocy, przecież jest bardzo korzystną dla niego samego; próżnujące, z długich chwili nudów, dałoby łatwy przystęp złym myślom, przywidzeniom, i złej obyczajności; zatrudnione pozbywa się tego wszystkiego, a przyzwyczaja do chwalebnej pracowitości. Taką drogą nauczyła się Róża szyć, wyszywać dosyć wcześnie i umiała więcej cenić swe robótki, któremi się przybierała, jak te panienki, co nie wiedzą, ile to pracy łożyć trzeba na wykonanie tego, czem się stroją, bo to wszystko kupione za rodzicielskie pieniądze.

W owych czasach, w których nasza przypada historya, nie miały sobie wielkie damy za ujmę bezpośrednio rządzić gospodarstwem niewieściem. Matyldę znaleźć można było i w kuchni, a obok niej stósownie zatrudnioną Różę. Wszakże najmilej jej było, gdy czas pozwalał, zatrudniać się w pięknym zamkowym ogrodzie, tam i Róża miała wyznaczoną część ziemi, na której hodowała rozmaite rośliny tak do potrzeby służące, jak wdziękiem oko bawiące. Co to za radość była, gdy się dochowała jakiego nadobnego kwiatka, lub jakiej jarzyny. Natenczas mawiała jej matka:

— Widzisz, jakto Opatrzność Boża wynagradza nasze prace!

Nie trzeba sądzić, żeby matka ciągle bez wypoczynku zatrudniała córkę pracą; był czas pracy, ale był też i czas odpoczynku, rozrywki. Były w należącej do zamku wsi dwie rówienniczki Róży, dzieweczki nizkiego wprawdzie stanu, ale dobrze wychowane, te przybywały na zamek parę razy w tygodniu, aby towarzyszyły i korzystnie z nią się bawiły. Matylda podawała im przedmioty przyjemnych zatrudnień i zabawek nieznacznie mając ich pod okiem. Przy takiem wyrachowaniu Róża była zawsze wesołą i w dobrym humorze, wiedziała bowiem to dobrze jej matka, że posępność i ponurość dla młodego umysłu, nietylko że go pozbawiają przyjemności w pożyciu nadarzających się, lecz czynią człowieka nietowarzyskim i nudnym w obcowaniu.

Przedewszystkiem była Matylda o to troskliwą, aby serce Róży nie opanowała i nie zepsuła próżność i miłość strojów. Zdarzało się, że książę z wielu rycerzami i damami odwiedził Tanenberg. Róża wystąpiła stósownie do stanu przybrana w jedwabnych sukniach, ozdobna drogiemi klejnotami, złotym łańcuchem. Jakto bywa, goście, a osobliwie kobiety uwielbiały jej ubiór, unosiły się w pochwałach jej urody, kibici, ułożenia. Po ich odjeździe odezwała się matka do córki:

— To wszystko, co ci prawili goście, mocno mnie zasmuciło, moja kochana córko! Jak to, nic w tobie nie widzieli godnego pochwały, jak te świecidła i jedwabie? Ach, za te winniśmy uwielbiać rękodzielnie, nie tego co je posiada! Chwalili twoją urodę i zgrabność, która nie jest twoją zasługą, kiedyś zwiędnieje i w proch się w końcu obróci. Mój Boże, gdyby w tobie nic prócz tego nie było godnem pochwały, byłabym natenczas najnieszczęśliwszą matką! Kochana córko, starajże się o takie przymioty, które istotnie zdobią człowieka, choć w biednym będącego ubiorze. Szlachetny sposób myślenia i szlachetne czyny, to są prawe klejnoty, które i w wieczności popłacają.

Wszakże więcej nierównie jak słowy nauczyła Matylda swą córkę dobrym przykładem. Życie jej było właśnie wzorem najpiękniejszych cnót; nigdy nie mówiła o sobie samej samolubnie, żadnemu człowiekowi nie dała uczuć swej wyższości, jej łagodnej twarzy nie szpecił nigdy gniew; o nikim źle nie mówiła, dla każdego była grzeczną i dobroczynną. W zamkowej kaplicy widzieć ją można było często, zatopioną w modlitwie, i u podnóżka ołtarza czerpającą pokrzepienie. Cierpiący mieli w osobie jej dobroczynną opiekunkę. Znalazło się w dobrach Matyldy wielu podobnych, których sama osobiście, nie spuszczając się na sługi, odwiedzała i opatrywała. Chorowała i to niebezpiecznie, matka siedmiorga dzieci we wsi przyległej zamkowi, nie sądziła ta pani, że to jest z ujmą jej godności; odwiedzała cierpiącą i sama cierpiąca, sporządzała jej lekarstwa. Róża

towarzyszyła matce, uczyła się służyć nieszczęśliwym, i być litościwą nad ich położeniem; jakoż w rzeczy samej, gdy po niejakim czasie chora przyszła do zdrowia i wraz z dziatwą swoją oblewała łzami wdzięczności ręce swej dobrodziejki, uczuła wtenczas Róża najlepiej, jak to jest dobrze być dobroczynnym.

Tak dobre wychowanie, nie mogło być bez pięknych korzyści. Róża stała się wzorem pięknych cnót, oddychała najczulszą miłością ku Bogu, swych rodziców i bliźnich; jej skromność, pobożność, łagodność, niewinność, roztropność, zdobiły ją i dodawały powabów. Prosty, ale czysty był jej ubiór, jako i jej serce. Kto ją widział, musiał przyznać, że była najpiękniejszą ze wszystkich niemieckich dziewic, ale cnota nierównie więcej dodawała jej wdzięków.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KASKA I DJABEŁ.

W pewnej wsi była wieśniaczka, imieniem Kaśka. Miała ona chatę z ogrodem i cokolwiek pieniędzy; lecz gdyby nawet cała była siedziała w złocie, nie byłby jej chciał najbiedniejszy nawet parobczak, bo była zła jak djabeł, a język miała złośliwy. Żyjąc ze starą matką, potrzebowała czasem pomocy, lecz choćby grosz jeden mógł był kogo zbawić. a ona dukatami płaciła, nie byłby nikt nic dla niej uczynił, bo o każdą odrobinę się kłóciła i krzyczała, że na mil dziesięć się to rozlegało. Przy tem była brzydka; została przeto na koszu i miała już lat czterdzieści. W niedzielę, jak to zwyczajnie po wsiach się dzieje, grywała i tu muzyka, a skoro tylko u sołtysa lub w gościńcu dudy się odezwały, zaraz izba napełniła się parobczakami; w sieni zaś stały dziewczęta, a przy oknach dzieci. Najpierwszą ze wszystkich przybywała Kaśka. Za skinieniem parobczaków dziewczęta stawały w kole, lecz szczęścia tego nie doznała Kaśka w swem życiu całem, choćby kobziarzowi sama może była zapłaciła. Mimo to ani jednej nie opuszczała niedzieli.

Jednego razu idąc do gościńca, myślała sobie po drodze: Już tyle mam lat, a jeszczem nigdy z nikiem nie tańczyła; aż mnie złość bierze! Jużbym dziś zaiste i z djabłem samym potańczyła.

Tak rozsrożona wchodzi do gościńca, siada przy piecu i przypatruje się, jak chłopacy wybierają dziewczęta do tańca. W tem wchodzi nagle pan jakiś w ubiorze strzeleckim, siada niedaleko Kaśki do stołu i każe sobie nalać piwa. Szynkarka przynosi piwo, pan bierze i niesie je Kaśce. Kaśka dziwując się, że jej ten pan taki zaszczyt czyni, podrożyła się chwilkę, a potem piła z radością. Pan stawia dzbanek, wydobywa z kieszeni dukata i rzucając go kobziarzowi, woła:

— Teraz dla mnie!

Parobcy rozstępują się, a pan bierze sobie Kaśkę do tańca.

— Cóż u licha, któż to jest? — pytają się starsi, szepcąc sobie do ucha; chłopacy zaś wykrzywiają usta, a dziewczęta chowają się jedna za drugą, zatykają sobie twarze fartuszkami, żeby Kaśka nie widziała, jak się z niej śmieją. — Tymczasem Kaśka szczęśliwą będąc, że tańczy, nie widziała nikogo, a gdyby nawet cały świat ją był wyśmiewał, nic to nie byłoby ją obchodziło. Całe południe i cały wieczór z Kaśką tylko ten pan tańczył, kupował jej pierniki i dobrą wódkę, a gdy czas nadszedł pójścia do domu, odprowadził ją przez wieś.

— Chciałabym z wami aż do samej śmierci tańczyć jak dziś! — rzekła Kaśka, gdy go pożegnać miała.

— To się stać może, pójdź ze mną!

— A gdzież wy mieszkacie?

— Uwieś mi się na szyję, a powiem ci.

Kaśka uwiesiła się na nim, a on przemienił się w djabła i poleciał z nią prosto do piekła. Przy bramie zatrzymał się i zakołatał, kamraci przybiegli i otworzyli, a widząc go oblanego potem, chcieli dla ulżenia mu, Kaśkę z niego zsadzić, lecz dokonać tego nie mogli, bo go trzymała jak w kleszczach i oderwać się w żaden sposób nie dała. Djabeł rad nie rad musiał z Kaśką na szyi udać się do Lucypera.

— Kogoż to tam niesiesz? — zapytał tenże.

Djabeł odpowiedział, że chodząc po ziemi, słyszał Kaśki narzekania, iż nie może dostać tancerza; że dla pocieszenia jej puścił się z nią w taniec, i że na chwilkę piekło jej chciał pokazać.

— Nie wiedziałem, — zakończył, — że mnie już nie będzie chciała puścić.

— Głupi jesteś! — ryknął Lucyper. Wszak ci mówiłem nieraz, że nie masz zaczynać z nikiem, póki jego myśli nie wybadasz. Gdybyś odprowadzając Kaśkę, nie był o tem zapomniał, nie byłbyś jej wziął z sobą. Ruszaj sobie i staraj się jej pozbyć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OJCZE NASZ.

POWIEŚĆ NAPISANA PRZEZ F. S.

Nad brzegiem jeziora, które jakoby zwierciadło srebrzyste spoczywa pomiędzy zielonemi łąkami, urodzajnemi niwami, otoczonemi wieńcem lasów, położona jest piękna wieś Jaworzew. Kilka chat rybackich rozrzucone nad brzegiem jeziora, a dalej ku górze wznoszą się schludne domki gospodarzy widocznie porządnych i miennych, bo każdy domek w dobrym stanie, pobielany, przoduje niemniej schludnym zabudowaniom gospodarczym; tu i owdzie przed domkami widać starannie pielęgnowane ogródki z kwiatami. W pośrodku wsi wznosi się murowany kościół, którego wieżyca, zdaje się, na straży stoi całej osady, co tak błogo spoczywa pod opiekuńczemi skrzydłami świątyni swego Boga; obok kościoła ocieniają gęste lipy piękną plebanię, za nią ciągnie się ogród i sad obszerny, przytykający aż do szerokiego strumienia, a raczej małej rzeczki która od zachodniej strony przerzyna zielone łąki, i zataczając srebrzystą swą wstęgę w nieznacznym łuku około wsi, ginie w nurtach jeziora.

We wsi spokojnie i cicho, ale natomiast na polach i łąkach ruch wielki: ludzie spieszą się ze zwózką siana, bo upał niezwykły rychłą zapowiada burzę, a tam na zachodzie piętrzą się czarne chmury, zagrażające ulewą suchemu sianu, jeżeli czemprędzej nie zostanie zwiezione.

Andrzej Marciniak pot ociera sobie z czoła. Posępnem spogląda okiem, a gniew i złość maluje się na jego twarzy.

— Że też jakby na złość ta przeklęta burza nadchodzić musi! — mruczy sobie półgłosem. — Cały sprzęt mi przemoknie i zniszczeje! I ma tu człek dorobić się czego! Ano tak — muszą djabli wziąść gospodarstwo, jeżeli im Pan Bóg jeszcze dopomaga!

— Człowieku nie bluźnij! — rzekła żona, delikatna i słabowita nieco niewiasta, która pomagając mężowi, rączo się krzątała.

— Co? — krzyknął Andrzej. — Chcesz mi kazanie prawić — ty dewotko pobożna? Jeno mi bądź cicho, boby na twoich plecach mogło zagrzmieć!

Klnąc w szalonej złości, szedł za naładowanym wozem ku wsi, podczas gdy czeladź pozostała na polu, aby drugi wóz naładować.

Tymczasem już pierwsze chmury czarnym całunem roztoczyły się po niebie, wielkie padać poczęły krople deszczu i grzmot ciężki zahuczał nad lasem.

W złości opuścił Andrzej wóz i kazał parobkowi pospieszyć się z nim do domu, a sam zboczył na lewo, gdzie w końcu wsi stała karczma.

Tamdotąd zdążał zawsze, ilekroć złość go ogarniała, bo tam mógł kląć i złorzeczyć wedle upodobania, i nikt mu nie przeszkadzał tak, jak w domu, gdzie go „dewotka," jak swą pobożną żonę zawsze nazywał, napominała i usiłowała odwieść od obrazy Bożej.

— Wódki i piwa! — zawołał wchodząc do obszernej izby, w której oprócz szynkarza i wędrownego czeladnika nie było nikogo.

Szynkarz nalał duży kieliszek i postawił na stole, potem zabrał się do natoczenia piwa, spoglądając z niezadowoleniem na Andrzeja, w którego twarzy nic dobrego nie wyczytał.

Andrzej Marciniak był najbogatszym gospodarzem a był przytem bezdzietnym. Pycha jego i zarozumiałość nie znały granic, to też dla nikogo nie miał poszanowania; dla sług był nieludzkim, dla żony okrutnym, dla biednych nielitościwym; szydził, gdy inni się modlili; z wiary mało co mu pozostało, wierzył tylko w swój pieniądz i majątek, a przypisując go swej mądrości, chełpił się z niego aż do obrzydzenia. To też żadnego nie miał przyjaciela, nikt go nie lubił, a każdy, który nie miał potrzeby zbliżania się do niego, najchętniej go unikał.

O ile nie cierpiano Andrzeja, o tyle więcej okazywano współczucia dla młodej Andrzejowej, która onego czasu, gdy jeszcze była ubogiem dziewczęciem, bez porównania była szczęśliwą i bogatszą, aniżeli teraz, gdy przez ożenek została bogatą gospodynią, ale codziennie we łzach się rozpływała, modląc się o nawrócenie zdziczałego swego męża. Cierpiała wiele, doznawała wiele krzywd od brutalnego męża, ale wszystko to znosiła w milczeniu, bez szemrania i skargi. Najwięcej ją to bolało, że Andrzej żadnej prawie nie miał wiary, że nie dbał o kościół, że wciąż miał na ustach mowy bluźniercze i klątwy, że aż ludziom włosy powstawały na głowie.

Z początku sądziła poczciwa kobieta, że męża dobrocią i prośbami zdoła ułagodzić i zmiękczyć; teraz po roku małżeńskiego pożycia przekonała się, że nie ma innej nadziei naprawienia męża i sposobu osłodzenia swego cierpienia, tylko przez milczenie i gorącą modlitwę.

Andrzej wychylił duszkiem kieliszek, potem przystąpił do okna, śledząc zasępionem okiem czarne chmury.

— Jesteście dziś w lichym humorze, Andrzeju, przerwał szynkarz milczenie. — Co się to stało?

— Nic, — była krótka odpowiedź.

— To ważny powód, aby się złościć i gryść w duszy! — żartował gospodarz, wychodząc z izby.

Coraz większe gromadziły się chmury na niebie; wielki wicher wył przeraźliwie, pędząc przed sobą pieniące się bałwany jeziora; raz poraz jasna błyskawica czarne rozdarła chmury i znowu złowroga panowała ciemność.

Na wieży kościelnej uderzono we dzwony. Andrzej na głos się rozśmiał.

— Głupie dzwonienie! — rzekł szyderczo. — Pewnie pioruny ustraszą się kościelnego i organisty, i spalą się na panewce!

Tak drwił sobie Andrzej, ale nie pamiętał o tem, że podczas gdy dzwony wzywały lud do modlitwy, klęczał pleban w kościele u stóp ołtarza, a w każdym domu korne zanoszono modły przed tron Najwyższego.

Coraz gęstsze migotały błyskawice, oświetlające ponury krajobraz żółtem swem, białem i niebieskiem światłem: grzmot huczał coraz gwałtowniej, a wicher z szaloną wściekłością miotał deszcz rzęsisty na pola, niszcząc całą nadzieję sprzętu.

— Co to za dobrodziejstwo dla naszego żyta i pszenicy! — drwił sobie Andrzej. — A mimo to będzie pleban prawić głupim ludziom, jakto im Pan Bóg błogosławił, że większy mają sprzęt, aniżeli na to zasłużyli — — głupstwo! Jak gdyby każdy z nas uczciwie, rzetelnie nie pracował! Tak — orzemy, siejemy, mozolimy się i niedośpimy, połowę naszej pracy zniszczą burze, a resztka, co zostanie, ma jeszcze być darem Bożym, za który powinniśmy dziękować!

Dwie łamane smugi jaskrawego światła roz-

pruły po sobie chmury i uderzyło w jezioro: przeraźliwy huk zabrzmiał zaraz potem.

— Prześliczna muzyka! mruknął Andrzej, odszedł od okna i usiadł przy nalanym kufelku: popił i zamyślił się, wsparłszy głowę na rękach.

Wtem nagle zaiskrzyło się w izbie, jak gdyby całe niebo było w płomieniach. W tej samej chwili odezwał się huk piorunu zdawający wstrząsać całą ziemię w swych posadach — potem nastała cisza.

— Dostało się komuś! — szepnął Andrzej, nie ruszając się z miejsca.

Naraz ktoś pędził ulicą, uderzając w okno w prawo i w lewo i krzycząc na całe gardło:

— Gore! Gore!

— Gdzie gore?

— U Marciniaka! Piorun trzasł w chałupę i cały dach jej zajęty!

Andrzej opadł bezwładnie na stole.

— U mnie! — jęknął drżącym głosem. — Czemu właśnie u mnie?

Zaraz jednakże zapanował nad sobą: podskoczył i pięść wyciągając ku niebu, zaryknął przeraźliwie:

— Dobrze więc! Jeżeli mój folwark się pali, przez całe życie ust nie otworzę do pacierza! Przysięgam to uroczyście!

Wywrócił kufel z piwem, i jak waryat wybiegł z gościńca. Im więcej zbliżał się do domu, tem więcej drżały pod nim nogi. Widział już jak jasny płomień, otoczony kłębami gęstego dymu, unosił się nad jego zabudowaniami.

Na miejscu nieszczęścia wielkie było zamieszanie. Bydło z wielkim mozołem wyprowadzone z ognia, ryczało przeraźliwie i koniecznie nawracało się do palących się stajni. Dachy były już pastwą płomieni, nawet z okien płomień tu i owdzie już buchnął.

— Moje pieniądze! — krzyknął Andrzej, odepchnął od siebie żonę, że się potoczyła i padła na ziemię, i wpadł do palącego się domu.

Po małej chwili powrócił okopcony, trzymając napełniony trzos w ręku. Następnie usiadł na kamieniu i patrzał spokojnie, jak człowiek pozbawiony zmysłów, w płomienie, które pochłaniały jego dobytek. O nic się nie troszczył, ani nawet o biedną swą żonę, która ostatecznie znużona i wycieńczona, padła obok niego jak nieżywa.

On zaś patrzał to na ogień, to na trzos swój, podobny do nierozumnej małpy, tulącej do siebie młode swe szczenię.

Wreszcie nad ranem zagasł ogień.

— Mój Andrzeju, — szepnęła nieszczęśliwa kobieta, — Pan Bóg nas ciężko nawiedził, ale trzeba z pokorą poddać się Jego woli. Zresztą zasłużyliśmy na to. Ty nie tyle, ile ja! Tylko się zaraz nie gniewaj! Będę pracować, jak sługa, będę oszczędzać, a da Bóg, niezadługo znowu pod własnym będziemy dachem. Ale będziemy też prosić Pana Boga, aby nam pobłogosławił i wszystko się naprawi!

Andrzej odwrócił się gniewnie.

— Czego chcesz? — mruknął przez zęby. — Patrz chałupy nasze spalone, tylko popiół i gruzy z nich zostały — wszystko djabli wzięli! Ale jeżeli myślisz, że się upokorzę i będę wzdychać, jęczyć i modlić się tak jak ty, to grubo się mylisz! Pal djabli całe zabudowanie i graty; ja nie mam szkody — jestem zaasekurowany!"

II.

ŚWIĘĆ SIĘ IMIĘ TWOJE.

Tak jest, Marciniak był zaasekurowany!

W kilkanaście dni po pożarze wypłacił mu agent Towarzystwa Zabezpieczenia dziesięć tysięcy talarów w assygnacyach.

— Masz tu nawiedzenie Boże! — bluźnił Andrzej, rzucając przed żoną pieniądze na stół. — Dziesięć tysięcy talarów! Teraz staną budynki trwalsze i piękniejsze, a na nich zaprowadzę kunduktory, że im pioruny nie zaszkodzą. Zobaczymy potem, kto panem w moim domu Pan Bóg czy też ja!

Andrzejowa nie zdołała odpowiedzieć! Na bluźniercze słowa męża, ból ścisnął jej serce i dreszcz ją przejął zimny. Teraz począł Marciniak robić plany.

Przekonał się, że będąc najmajętniejszym we wsi, a przytem mędrszym od wszystkich gospodarzy, którzy ślepo wierzyli w to co im księża prawili, powinien też we wszystkiem innem od nich się wyróżnić. Wszakże i inni wielcy panowie też tego co on usposobienia i dla tego zaliczają ich do inteligencyi, — czemużby i on należący do tej inteligencyi, nie miał odpowiednio żyć i odpowiednio mieszkać? Zamiast

folwarku więc powinien stanąć pałacyk i budynki gospodarcze prawdziwie pańskie. Prawda — na to było pieniędzy zamało, ale czyż to nie można ich pożyczyć? A przecież na to są długi aby je robić!

Tak rozumował Marciniak. Ale trzeba mu słuszność oddać, że te marzenia o pałacu i państwie były tylko pokusą, prawda dość silną, ale w chwilach zimnej rozwagi uznawał, że to rzecz nieco za trudna.

Budować jednakże musiał; trzeba więc było wiele interesów załatwiać, z budowniczym porozumiewać się co do planów, w sądzie starać się o konsens itp. Bywał więc często w mieście a tam pilnie zaglądał też do restauracyi na pokrzepienie znużonego ciała; nie chodził zaś do szynkowni lub pokątnej oberży, tylko do restauracyi, boć przecież nie należał do ciemnych wieśniaków, tylko do „inteligencyi."

Razu pewnego przysiadł się do Andrzeja w restauracyi pewien jegomość i rozpoczął poufałą z nim gawędkę o gospodarstwie i stosunkach naszych społecznych. Z początku Andrzej nie bardzo był rad temu towarzystwu, bo owemu panu jakoś źle z oczu patrzało, ale gdy ten zaczął prawić zupełnie w myśl jego, że tylko rozumem można w świecie coś zrobić, że dopóki się nie wyswobodzimy z pod opieki popów, którzy lud utrzymują w ciemności i tamują postęp i oświatę, nie będzie dobrze na świecie, uważał Andrzej, że to człowiek wcale nie głupi, zwłaszcza że go tytułował: „panie Marciniak" i „łaskawy panie." Wreszcie ów jegomość zażądał butelki wina, a przy kieliszku żwawiej potoczyła się rozmowa, przyczem Andrzej swoje także wygłaszał zasady, nad czem ów obcy niezmiernie się unosił i bez ogródki oświadczył, że takich znakomitych i rozumnych „obywateli, jak pan Marciniak, potrzeba nam więcej, a wtenczas wnet zbawimy Polskę, bo ani popy jej nie zbawią swemi modlitwami i morałami, ani szlachta i panowie swoją pychą i złem gospodarstwem!"

Marciniak był w siódmem niebie.

— A pan czem jesteś? — zapytał.

— Jestem komisyonerem.

— Co? co? komisarzem?

— Nie, komisyonerem, to jest: agentem.

— Aha, agentem — agentem — — to niby pan agentem — — to pewnie jaka fabryka, albo co?

— Nie, ja mam agenturę, to znaczy, że przezemnie każdy może zrobić czego mu potrzeba: albo się zabezpieczyć, albo sprowadzić towary, albo co kupić, lub sprzedać, albo też pieniędzy pożyczyć.

— Ho, ho! A gdybym ja też potrzebował?

— Miałbyś pan je zaraz. A ilebyś pan chciał?

— Ośm do dziesięciu tysięcy talarów!

Agent rozśmiał się z lekceważeniem.

— Nie więcej?

— A czy pan ma tyle pieniędzy? — zapytał zdziwiony Andrzej.

— Ja nie mam, ale jeżeli pan chcesz, możesz mieć w przeciągu tygodnia piętnaście tysięcy.

Andrzej się zamyślił. Pokusa znowu się zjawiła — za tyle pieniędzy razem ze swojemi, mógłby już paradny wybudować dom, stodoły, stajnie i obory; ale na co bez potrzeby tyle długów robić, szeptała mu rozwaga, i płacić procenta? Pycha jednakże zwyciężyła.

— A jaki procent mam płacić — zapytał.

— Cztery — tyle ile zawsze biorę.

Agent wymówił te słowa z tak dziwnym przyciskiem że Andrzej podejrzliwie na niego spojrzał; ale ten wyjął cygaro, zapalił i puszczając gęste kłęby dymu, najniewinniej w świecie spoglądał.

— No, jakże? Masz pan ochotę? — zapytał. — Bo ja nie lubię, aby mi pieniądz pleśniał.

Andrzej zgodził się.

Po ośmiu dniach odebrał Andrzej pieniądze, piętnaście tysięcy talarów, a nieco później był w sądzie, gdzie mu wręczono odpis dokumentu hipotecznego, gdyż cały dług został na jego gruncie zahipotekowany.

— Mój Marciniaku, — zauważył sędzia; — ta pożyczka was zrujnuje!

— Zdaje się panu sędziemu, — odparł Andrzej opryskliwie; — ja wiem, co robię!

— Ale czterdzieści i ośm procent, to trochę za wiele!

— Co? co? — Przecież ja po cztery procent pożyczyłem! -— zawołał Andrzej przerażony.

— Tak jest, cztery procent na miesiąc, to na rok uczyni czterdzieści i ośm procent — tak stoi wyraźnie w obligacyi.

— Ale ja tego nie czytałem, nie słyszałem! narzekał Andrzej. — Ten układ nie ważny!

Sędzia wzdrygnął ramionami.

— Czemuście obligacyą lekkomyślnie podpisali? Ja wam teraz pomódz nie mogę. Ma-

my najbezczelniejszych lichwiarzy, w ręce jednego z nich dostaliście się.

Mocno zafrasowany powrócił Andrzej do domu. Długo nie mógł się uspokoić, ale wreszcie pycha i lekkomyślność zwyciężyły.

— Już ja sobie dam radę, pocieszał się i rozpoczął budowę swego pałacu, a dla większej oszczędności i przyspieszenia budowy, sam najął mularzy i robotników, i pilnował ich, plan tylko i główne kierownictwo zostawił budowniczemu; a ci robotnicy i mularze, byli to po największej części ludzie obcy i włóczęgi, którzy się ze świata przywlekli.

W sobotę pierwszego tygodnia wypłacał robotnikom i rzekł:

— Jutro przyjdziecie także do roboty! Ja nie mogę w niedzielę świętować, bo na zimę dom musi być gotowy i wyschnięty!

I rzeczywiście w niedzielę z rana przybyli mularze i pracowali, jak w dni poprzednie.

Można sobie wyobrazić, jakie zgorszenie i oburzenie było we wsi! Andrzejowa blizko godzinę całą błagała i zaklinała męża, aby nie dawał takiego zgorszenia, wszystkich używała środków, aby odwieść go od tego grzesznego przedsięwzięcia, ale wszystko daremnie — Andrzej odpowiedział bluźnierstwami i poniewierką.

Po nabożeństwie przybył proboszcz, przedkładał i przemawiał po przyjacielsku, napominał po ojcowsku, Andrzej słuchał zachmurzony. Potem zacisnął pięście w kieszeniach i patrząc hardo na proboszcza, odezwał się:

— Bóg zapłać jegomości za kazanie! Ale niepotrzebnie się jegomość fatygował. Ja mam swój rozum i robię tak, jak mnie się podoba; a jeżeli jegomość na to patrzeć nie może, to niech jegomość nie patrzy — ja jegomości nie proszę aby tu przychodził, lepiej tam pilnować swego kościoła! Jeżeli zaś robię co złego, to mię zaskarżcie!

To rzekłszy odwrócił się i odszedł.

Biedna Andrzejowa nie śmiała nawet patrzeć na ludzi, gdy w niedzielę szła do kościoła, a naraz musiała usłyszeć tego rodzaju uwagi sąsiadów nad postępowaniem męża, że jej się serce krwawiło. Najlżej jej było, gdy się szczerze pomodliła i pokryjomu wypłakała; wtenczas zdawało się jej, że ciężar spadł z serca, i że jeszcze wszystko się naprawi.

Gdy nadeszła jesień, stanął zanadto obszerny i niestósowny dom mieszkalny — pałac w wyobrażeniu Andrzeja, oraz budynki gospodarcze. Andrzejowa chciała, aby ksiądz proboszcz mieszkanie i zabudowanie poświęcił, ale Andrzej oparł się temu, wyrzekając, że nie potrzebuje ani proboszcza, ani jego błogosławieństwa; bez tego on sobie da radę, bo rozum i praca, to więcej znaczy, jak modlitwa i święcona woda.

Miał więc teraz Andrzej czego pragnął; miał pałac i bardzo porządne zabudowania, ale mimo to nie czuł się szczęśliwym, bo gdy wieczorem zasiadł za stołem i zaczął medytować i kalkulować, to zawsze przychodził do tego przekonania, że ta cała parada nie jest właściwie jego własnością, że nie wygospodarzy tyle, chociażby się na głowę postawił, aby mógł rocznie 7200 talarów procentów zapłacić, a życie, czeladź, inwentarz, potrzeby domu i gospodarstwa? Wtenczas ćmiło się mu w oczach; pozostało mu jednakże jeszcze około 2000 talarów, a że śpichlerz, stodoły i stajnie dobrze były zaopatrzone, więc myślał, że to jakoś pójdzie. Trzeba mu też było przyznać, że do karczmy wcale nie chodził, że pilnie pracował od rychłego rana aż do późnej nocy i żył nadzwyczaj oszczędnie.

Ale to wszystko nic nie pomogło; oszczędność przyszła po czasie. Interesa Andrzeja pogarszały się z dnia na dzień, a procenta zjadły ostatni grosz krwawo zapracowany.

Gdy Andrzej znużony pracą, smutny i przygnębiony siedział wieczorem w domu, starała się Andrzejowa dodać mu otuchy i pociechy, ale gdy o Bogu wspomniała, to padał Andrzej w zwykłe swe rozdraźnienie.

— Nie baj mi głupstw! — odpowiadał zwykle. — Jeżeli sumienna praca mię nie postawi na nogi, to już chyba niewiem rady. A pracuję gorzej od robaka.

— Mój Andrzeju, — mówiła mu raz na to żona. — Pan Bóg twej pracy nie błogosławi. Budowałeś z grzechem, bo dla łakomstwa bezcześciłeś niedziele i święta, i myślisz, że jeszcze błogosławieństwa za to wszystko spodziewać się powinieneś od Boga? Ty nie mówisz pacierza, ani się nie modlisz — czy myślisz, że mi się serce nie krwawi, gdy widzę, że żyjesz jak poganin? W największe święta nawet nie chodzisz do kościoła! I dziwisz się jeszcze, że nam się coraz gorzej powodzi? Mężu, pamiętaj; nawróć się do Boga, bo inaczej na stare lata pójdzie-

my z torbami, albo też gmina da nam przytułek w szpitalu!

Ta mowa dogryzała go do żywego, poskoczył z krzesła i pięścią uderzył w stół.

— Co? Z torbami pójść mamy? wrzasnął. — Ha, ha, tak jeszcze źle nie jest z nami! Chyba jeszcze co innego na mnie spadnie, zanim do ludzi rękę wyciągnę! Patrz na moje ręce, te zapracować muszą to, czego potrzeba, one nas muszą postawić na nogi!

— Bez modlitwy najsilniejsza ręka ludzka nic nie zdoła zrobić, gdzie niema błogosławieństwa Boskiego, tam wszelka praca daremna, odpowiedziała Andrzejowa, ale Marciniak tych słów już nie słyszał, bo wyszedł natychmiast na dwór, aby urwać niemiłą rozmowę.

III.

„PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE."

Ostra zima ścięła jezioro i pokryła je twardą skorupą lodu. U gałęzi ogołoconych drzew wisiały połyskujące kryształy, z dachów zwieszały się olbrzymie bryły lodowe.

Było to około Bożego Narodzenia.

W tylnej izbie u Marciniaka paliła się świeca i słabe rzucała światło na śniegiem zasłane podwórze.

Andrzejowa złożona była chorobą; obok łóżka stała kołyska, a w izbie rozlegał się krzyk pierwszego dziecka Andrzeja, chwackiego chłopaka.

Radość z tego powodu wielkiej w Andrzeju dokonała zmiany. Godzinami całemi siedział przy kołysce dziecka, i bez szemrania czuwał nawet nocami całemi przy łożu chorej żony, chociaż znużony i strudzony był po mozolnej całodziennej pracy.

Tak dalece nawet się zmienił, że codziennie z rana i wieczora wyjmował chłopca z łóżeczka i zanosił go matce, aby go przeżegnała święconą wodą, sam jednakże nigdy tego nie czynił.

— Teraz zupełnie co innego, — mawiał do swych znajomych; — teraz człek przynajmniej wie, na co i dla kogo pracuje! A jaki to tęgi, zdrowy chłopak, a wrzeszczy, że aż w całym domu się rozlega!

Ale to szczęście wcale nie było stałe, bo po takich chwilach radosnego upojenia, stawał się Andrzej osowiałym i smutnym, i chodził ze zwieszoną głową, mocno zafrasowany. Przyczyna tego była, że procenta, przypadające na św. Michał nie były zapłacone, a jeden list po drugim nadchodził, domagający się zapłaty. Z początku listy były dość grzeczne, następnie stawały się coraz gwałtowniejsze i groźniejsze.

Andrzej łamał sobie głowę, jak tylko mógł aby wynaleść drogę wyjścia, na którejby znalazł pieniądze, ale daremnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W Lexington wydarzyło się w tych dniach nieszczęście, które nie rzadko się zdarza przy naprawianiu głębokich studni. Spuścił się tam studniarz do studni dość głębokiej, a gdy swym robotnikom nie dawał żadnej odpowiedzi, więc spuścił się za nim drugi, ażeby go ratować. Obudwóch zabiły gazy, jakie się w każdej głębokiej studni wytwarzają W pół godziny potem wyciągnięto ich ciała; chciano ich do życia przywołać, ale wszystkie sposoby były nadaremne.

Podobne nieszczęśliwe wypadki są dość częste przy zakładaniu nowych a naprawianiu starych studni. Jest sposób, aby sobie życie przytem zabezpieczyć i to taki:

Gaz, który się układa tuż na wodzie w głębi studni, a który człowieka zabija, trzeba najprzód usunąć. Używa się do tego węgla zgasłego, który ma ten przymiot, że jak gębka wodę, tak on wciąga w siebie wszystkie trujące gazy. Wpuszcza się więc w głąb studni w kociołku żarzące się węgle. Skoro kociołek dojdzie tuż do powierzchni wody, gdzie się gazy znajdują, gasną, bo im brak czystego powietrza i wciągają gazy w siebie. Po godzinie spuszcza się wolno palącą świecę. Jeżeli świeca pali się przy wodzie, to gazów już nie ma, jeżeli zgaśnie, to jeszcze się gazy znajdują. Trzeba kociołek wyciągnąć, węgle wysypać, i nowe żarzące się spuścić w głąb studni. To należy powtarzać póty, dopóki świeca spuszczona na dół przestanie gasnąć. W ten sposób studnią mającą około 25 stóp głębokości można przez kilka godzin z gazu oczyścić.